

# Janusz Jasiński

---

## Książka służąca pojednaniu

---

Komunikaty Mazursko-Warmińskie nr 3, 457-463

---

1993

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

---

*Janusz Jasiński*

## Książka służąca pojednaniu\*

Jednym z rodów junkierskich, który odgrywał doniosłą rolę polityczną w Prusach i Polsce już od XVI w., byli Dohnowie, posiadający największe kompleksy dóbr w Prusach Górnych (Oberland).

W 1991 r. ukazało się drugie wydanie wspomnień ostatniego właściciela fideikomisu, czyli ordynacji w Słobitach, Alexandra księcia zu Dohna\*. Wspomnienia te w najciekawszych partiach obejmują niemal całą pierwszą połowę XX w. Dla czytelnika polskiego książka ta jest bardzo interesująca chociażby z uwagi na możliwość skonfrontowania naszego stereotypu junkra z autorefleksją jednego z ich przedstawicieli, ponadto autor wspomnień sporo miejsca poświęcił sprawom polskim, i to w okresie niezmiernie silnych konfliktów pomiędzy obu państwami i narodami. Te właśnie względy skłoniły mnie do obszernego omówienia książki i do wyodrębnienia w niej dwóch wątków: stosunku autora do wewnętrznych i zewnętrznych niemieckich zagadnień politycznych oraz do problemów polskich.

### I

Dziadkiem Alexandra po mieczu był Richard Wilhelm zu Dohna (1843—1916), któremu cesarz Wilhelm II przyznał w 1900 r. tytuł księcia. Richard Wilhelm był konserwatystą, z tego też punktu oceniał nie tylko czasy współczesne, ale i przeszłość. Na przykład nie cierpiał nadprezydenta Theodora von Schöna, jednego z bardziej znanych liberałów szlacheckich drugiej ćwierci XIX w., uwielbiał natomiast cesarza Wilhelma II, którego często gościł w swoim zamczku myśliwskim w Prakwicach w powiecie morąskim. Jednakże w 1906 r. doszło pomiędzy nimi do poważniejszej scysji, na skutek czego Wilhelm II przestał bywać u księcia Dohny, z wyjątkiem roku 1910, kiedy to w Prusach Górnych odbywały się wielkie manewry wojskowe. W 1913 r. cesarz obdarował Richarda orderem Czerwonego Orła. W momencie wybuchu wojny w 1914 r., mimo że skończył już siedemdziesiąt lat, książę zameldował się do czynnej służby wojskowej, otrzymał jednak przydział do Czerwonego Krzyża przy sztabie generalnym. Jego bezpośrednim przełożonym był feldmarszałek Paul von Hindenburg. Richard Wilhelm zmarł w Wilnie w 1916 r.; pochowany został przy asyście delegata cesarza oraz wielu dostojników państwowych na cmentarzu w Słobitach.

Podobnym duchem regalistyczno-militarno-konserwatywnym prześląknięty był ojciec autora, Richard Emil zu Dohna. On i cały ród Dohnów uroczyście obchodzili wszystkie pruskie święta państwowe, czcili więc pamięć wojen napoleońskich, szczególnie roku 1813, triumf pod Sedanem (1870) i wiele innych wielkich wydarzeń historycznych. Śpiewali wciąż *Ich bin ein Preusse* i przy różnych okazjach wygłaszali patriotyczne przemówienia,

---

\* Alexander Fürst zu Dohna-Schlobitten, *Erinnerungen eines alten Ostpreussen*, Der Goldmann Verlag, Berlin 1991, ss. 384.

w pałacu słobickim pełnym historycznych pamiątek urządzali zjazdy rodzinne, spotkania z generalicją, wysokimi dostojnikami prowincji. Wspominając militarną przeszłość ojczyzny, z dumą patrzyli na jej aktualną potęgę, wszak Rzesza należała wówczas do głównych mocarstw świata.

W takiej to atmosferze wzrastał urodzony pod koniec 1899 r. Alexander. Jego ojcem chrzestnym został sam cesarz, co zmusiło rodziców do dodania w ostatniej chwili na pierwszym miejscu imienia monarchy, dzięki czemu zapisano mu oficjalnie cztery imiona: Wilhelm, Hermann, Alexander, Richard. W zastępstwie cesarza trzymał go do chrztu szef sztabu generalnego Helmuth von Moltke. Pamiętnikarz wspomina, że przy powitaniu Wilhelma II w Prakwicach w 1910 r. wszystkie dzieci całowały go w rękę, a on jako chrześniak pocałowany został przez cesarza w czoło.

Wybuch wojny w 1914 r. przyjęto tak w Prusach Wschodnich, jak i w całych Niemczech, z olbrzymim entuzjazmem. Ciekawe, że ogół społeczeństwa, bezgranicznie ufający swemu władcy, uważał, że podejmuje walkę w słusznej sprawie, czyli w obronie ojczyzny. Dlatego też idea wojny cieszyła się w pierwszych miesiącach wielką popularnością — dodajmy — nie sprzeciwili się jej nawet socjaldemokraci. Nie zdawano sobie sprawy, że to właśnie Niemcy najsilniej parli do wojny. Także ród Dohnów bez cienia wątpliwości poparł wojenną decyzję swego monarchy.

W obawie przed ofensywą armii rosyjskiej ojciec Alexandra, Richard Emil zu Dohna, wywiózł całą rodzinę do swoich krewnych w Darmstademie. Tam Alexander zdał maturę i bezzwłocznie, w 1918 r., powołany został na front wschodni, gdzie w okolicach Kurska zastało go zawieszenie broni. W tymże 1918 r. zmarł ojciec, na skutek czego Alexander, mając dziewiętnaście lat, jako najstarszy syn stał się księciem i właścicielem fideikomisu słobickiego.

Jak cała arystokracja uznał abdykację cesarza Wilhelma II i przekształcenie monarchii w republikę za prawdziwe nieszczęście państwa niemieckiego, co w konsekwencji skłoniło go do zajęcia postawy opozycyjnej wobec Republiki Weimarskiej. Marzył o restytucji cesarstwa, przyjaźnił się z wnukiem cesarza, także Wilhelmem (zginął we Francji w 1940 r.).

Początkowo Alexander z Dohna był członkiem Deutschnationale Volkspartei, przemianowanej w 1918 r. z Partii Konserwatywnej. Jednakże stopniowo od niej odchodził, ponieważ członkowie partii, nie mogąc pogodzić się z utratą prestiżu, jakim cieszyli się do 1918 r., kierowali się obsesyjną wrogością do wszystkich przeciwników monarchii, a szczególnie do lewicy. Dyskredytując wciąż Republikę Weimarską, nie chcieli jakby dostrzec, że właśnie oni mieli poważny udział — zauważa Dohna — w destabilizacji jej życia politycznego. Jako członek delegacji Heimatbund pertraktował w Monachium na przełomie 1922 i 1923 r. z przywódcą NSDAP, Adolfem Hitlerem. Ponieważ jednak Hitler usiłował podporządkować sobie Heimatbund, rozmowy spełzyły na niczym. W 1925 r. z radością przyjął wybór feldmarszałka Hindenburga na prezydenta z ramienia obozu prawicowego, ale rozczarował się do niego w 1932 r., gdy prezydent pozwolił upaść gabinetowi Heinricha Brüninga, przywódcy katolickiej partii Centrum, którego Dohna poznał osobiście w 1931 r. i którego rządy bardzo mu odpowiadały.

W tym chaosie politycznym — pisze Dohna — zdecydował się w listopadzie 1932 r. oddać swój głos, choć z pewnymi oporami, na partię hitlerowską, która zapowiadała uzdrowienia gospodarki i stabilizację życia politycznego. Hitlerem zachwycała się wieś, ale program NSDAP poparło także wielu znajomych Dohny, przyjaciół, krewnych. Spostrzeżenia Dohny przynajmniej w części zadają kłam stereotypom mówiącym o niechętniej, czy wręcz pogardliwej postawie arystokracji wobec brunatnego reżimu. Dohna spotkał się z Hitlerem po raz drugi jesienią 1932 r., a po raz trzeci w Kamieńcu (Finckenstein) w powiecie suskim latem 1933 r., gdzie poznał także Heinricha Himmlera i Reinharda Heydricha. Dohna wspomina, że dwa lata później Himmler usiłował mu po dyletancku wmówić, że znaleziony zwykły kamień polny jest starogermańskim młotem.

Pod wpływem swego kolegi szkolnego, adiutanta Himmlera, Karla Wolffa, Alexander został kandydatem SS, chociaż członkiem NSDAP nie był. Istniał ważny powód tej decyzji. Oto w oparciu o tę formację chciał rozpocząć niebezpieczną grę polityczną, mianowicie usunąć ze stanowiska gauleitera Prus Wschodnich Ericha Kocha. W tym celu podjął nawet rozmowy z Göringem, ten jednakże nie zdecydował się na żaden ruch przeciw pupilowi Hitlera. Oczywiście Koch bardzo szybko zorientował się w planach Dohny, który z tego powodu miał później wiele nieprzyjemności, z nagonką prasową łącznie.

Zastanawiając się nad wewnętrzną sytuacją polityczną, Dohna jeszcze przed wybuchem II wojny światowej przeżywał rozterki. Nie podobał mu się bojkot żydowskich kupców, samowola SA, propaganda przeciw Kościołowi, wiele do myślenia dała mu tzw. noc długich noży, czyli krwawa rozprawa z SA w 1934 r. Ale i najbardziej osobiste powody zrażały go do ruchu hitlerowskiego. Zabroniono mu kontaktów z byłym cesarzem przebywającym w Holandii, kazano mu zrezygnować z usług adwokata pół-Żyda, wywierano nań presję, by wystąpił z zakonu joannitów. W rezultacie pewnego dnia wrzucił do wody srebrną odznakę SS, co miało symbolizować zerwanie z ideologią hitlerowską. Aby jednak wzmocnić swą pozycję wobec NSDAP i w jakiś sposób się od niej uniezależnić, po odbyciu odpowiednich przeszkoleń został podoficerem rezerwy 4 pułku kawalerii w Olsztynie. W 1939 r. na pogrzebie tragicznie zmarłego dziesięcioletniego syna Richarda, który jak wszyscy uczniowie należał do Hitlerjugend, trumnę ze zwłokami kazał pokryć znakiem herbowym Dohnów, odrzucając flagę ze swastyką.

W 1939 r. Dohna odbył kampanię polską (o czym w drugiej części niniejszego omówienia), a następnie brał udział w wojnie przeciw Jugosławii i Grecji; tutaj obszernie cytuje prowadzony przez siebie dziennik. Przebija z niego pewna duma ze zwycięstw niemieckich. Autor wypełniał wzorowo swoje obowiązki żołnierskie, nie chciał niewątpliwie odgrywać roli „dobrego wojaka Szwejka”, chociaż, jak wiadomo, i ta wojna obciąża Niemcy.

Ale już następna wojna, ze Związkiem Radzieckim, wzbudziła w księciu znacznie więcej refleksji i wątpliwości, a sam autor, przeglądając po latach dziennik, przeprowadził surową samokrytykę, wyrzucając sobie zobojętnienie i nieczułość wobec straszliwych wydarzeń, których był bezpośrednim świadkiem, a częściowo i współsprawcą. Swój dziennik ocenił po latach jako dokument otępienia i duchowego zdziczenia (Verrohung), ponieważ tak mało było w nim dezaprobaty dla sposobu prowadzenia wojny przez Niemców, nie tyle przeciw armii sowieckiej co przeciw ludności cywilnej. Miłość, ciepło pozostawił w domu, litość głęboko zakopał na froncie. Owszem, oburzał się wewnętrznie widząc i słysząc, jak specjalne jednostki SS (Einsatzgruppen) rozstrzeliwały Żydów, m.in. pod Lwowem, gdy patrzył na niepotrzebnie podpalane wsie, gdy obserwował bezmiar okrucieństwa. Obawiał się jednak tak jak i inni mówić o tym, milczał więc i w ten sposób stawał się w pewnym stopniu współwinnym zbrodni. Przeczynał też, że kiedyś Niemcy odpowiedzą przed światem za swoje postępowanie.

Dohna przynajmniej w pamiętniku, że chociaż dostrzegał nieludzkość poczynań Niemców w Rosji, to jednak czuł się dumny z tego, że jest trybikiem w ogromnej maszynierii toczącej się na Wschód. Odczuwał też satysfakcję, gdy jego dywizję jako chlubę armii wymieniano w komunikatach naczelnego dowództwa Wehrmachtu. On sam uznał otrzymane odznaczenie bojowe za dzielną postawę pod Dniepropietrowskiem za duży zaszczyt. Jedyną pozytywną stroną tego okresu widział pamiętnikarz w kształtowaniu się silnej więzi koleżeńskiej i odpowiedzialności dowódców za życie i bezpieczeństwo podległych im żołnierzy. Toteż czytelnika nie dziwi, gdy Dohna opisuje autentyczny, ludzki żal po śmierci tych, z którymi przyszło mu przeżywać straszne miesiące na froncie wschodnim, owe dni zmęczenia, brudu, mrozów, groźby śmierci, kalectwa lub niewoli. Jego dywizja, i on sam, rygorystycznie przestrzegała międzynarodowych prawideł prowadzenia wojny, w odróżnieniu chociażby od oślawionej, przypominanej przez autora, dywizji SS Wiking. Tak więc wobec miejscowej ludności zachowywali się poprawnie, co było rzeczą o tyle

łatwą, że Ukraińcy traktowali Niemców (przynajmniej początkowo) jako wyzwolicielei spod sowieckiego jarzma. Jeden ze starszych mieszkańców z wdzięczności ofiarował mu nawet ikonę, którą Dohna umieścił później w zbiorach słobickich. Ludność ukraińska jeszcze przed nadejściem wojsk niemieckich niszczyła portrety Lenina, Stalina, Marksa i Engelsa. Postępując za cofającą się armią radziecką, Dohna widział zniszczone, zdewastowane cerkwie nie na skutek działań wojennych, lecz w wyniku wcześniejszej ideologicznej polityki komunistów. Były to spostrzeżenia pamiętnikarza z ofensywy w 1941 r. na południowo-zachodnie tereny ZSRR armii feldmarszałka Ewalda von Kleista, którego zagony dotarły aż do Rostowa, gdzie poniosły zresztą pierwszą poważniejszą klęskę.

Po kilkumiesięcznej służbie w nasłuchu radiowym w Smoleńsku Alesander zu Dohna otrzymał we wrześniu 1942 r. przydział do 14 korpusu pancernego wchodzącego w skład 6 armii generała Friedricha von Paulusa. Tutaj przeżył autor wraz z całą armią piekło kotła stalingradzkiego. Znowu doskwierał mu głód, wszy, nieustanne zmęczenie, brak opieki medycznej, wreszcie beznadzieja wojny, chociaż jeszcze w czasie Bożego Narodzenia 1942 r. większa część wojska ufała Hitlerowi, w tym także sztab 6 armii (z wyjątkiem Paulusa), że uratuje ich z okrażeń. Sam autor wykazał dużą odwagę, gdy wbrew osobistym rozkazom führera zabronił strzelać do parlamentarzysty Armii Czerwonej. Pomimo tak trudnego położenia, wojsko niemieckie nie uległo rozprzężeniu, niemal do momentu kapitulacji nie poddało się nastrojom panikarskim, walczyło dzielnie; wspomagali je wiernie dońscy Kozacy.

W jaki sposób autor uratował się spod Stalingradu? Otóż Paulus, wiedząc, że pójdzie do niewoli, postanowił papiery, odznaczenia oraz różne dokumenty odesłać do naczelnego dowódcztwa. W związku z tym sztab armii wytypował kuriera lotniczego; został nim właśnie rotmistrz Alexander zu Dohna. Paulus nakazał mu jednocześnie, aby zgodnie z prawdą powiedział Hitlerowi, że odpowiedzialność za zgubę 6 armii spada osobiście na niego, naczelnego dowódcę. Jednakże otoczenia führera obawiając się, że ten wpadnie we wściekłość, nie pozwoliło Dohnie spotkać się z Hitlerem bezpośrednio.

Wiosną 1944 r. Dohna został odesłany na front włoski. Tutaj po raz drugi odmówił wykonania rozkazu, mianowicie nie chciał rozstrzelać wziętych do niewoli na tyłach armii niemieckiej żołnierzy amerykańskich. Miał szczęście, że sam nie został rozstrzelany jak słynny żołnierz austriacki Otto Schimek w Machowej koło Krakowa, tylko zdegradowany i odesłany do Prus Wschodnich, z czego był zresztą zadowolony. Ponadto w jego aktach personalnych odnotowano, że jest politycznie niepewny. I jeszcze raz Dohna postąpił wbrew rozkazom Hitlera. W ostatnich dniach wojny wpłynął na generała Augusta Brauera — który ze swoją załogą obsadził miasteczko Verdun nad Aller i miał nakaz bronić je do ostatniego naboju — aby natychmiast złożył broń i poddał się Amerykanom. Dzięki temu i ludność, i miasteczko zostały ocalone.

Przyjrzyjmy się jeszcze stosunkowi Dohny do opozycji antyhitlerowskiej. Temat ten porusza pamiętnikarz kilkakrotnie. Przede wszystkim rzuca się w oczy jego ostrożność i brak zaufania w sprawach politycznych do zdecydowanej większości znajomych, towarzyszy broni, a nawet krewnych. Owszem, mógł wątpić w Hitlera, ale tylko we własnych myślach, natomiast w żadnym wypadku nie rozmawiał o tym, co najwyżej z najpewniejszymi osobami i to jedynie w cztery oczy.

Dohna stykał się dość często z ludźmi zaangażowanymi w spisek przeciw Hitlerowi. Na przykład w Smoleńsku rozmawiał na temat beznadziejnej sytuacji w 1942 r. z Henningiem von Tresckowem i z jego adiutantem Fabianem von Schlabrendorffem, którzy niedługo potem próbowali dokonać zamachu na Hitlera, ale nie zdecydowali się wciągnąć do spisku Alexandra zu Dohna. Natomiast później, służąc już pod Paulusem, przyjął od pułkownika Fritza Jägera zadanie wysondowania, którzy z oficerów byłby skłonny zaangażować się przeciwko Hitlerowi. Jednakże rychłe zamknięcie 6 armii w kotle stalingradzkim czyniło sprzysiężenie bezprzedmiotowym.

O potrzebie zglądzenia führera często rozmawiał ze swym wujem, generałem Heinri-

chem zu Dohna z Tołkin w powiecie kętrzyńskim, przecież terminu zamachu nie znał, nie wiedział też, że hrabia Heinrich przewidziany był w kręgu pułkownika hrabiego Klause Schenck von Stauffenberga na dowódcę królewieckiego okręgu wojskowego. Po zamachu z 20 lipca 1944 r. Heinrich zu Dohna został skazany na karę śmierci, podobnie jak wielu innych spiskowców, z którymi autor pamiętników spotykał się w Tołkinach. Przesłuchiwany był później przez gestapo, ale dzięki zręcznym odpowiedziom uniknął aresztowania i represji.

## II

Problematyce polskiej Dohna zaczął się poważniej przypatrywać dopiero przed plebiscytem w 1919—1920 r. Zaznaczyłem już, że należał do Heimatbundu, którego ostrze, jak sam wspominał, skierowane było przeciw Polakom i komunistom, tak więc początki zainteresowania Polską wiązały się z wrogim do niej nastawieniem, co było wówczas zjawiskiem w Prusach Wschodnich powszechnym. Wciąż wypominano Polsce „korytarz” i zwracano uwagę na jej zaborcze aspiracje w stosunku do Prus Wschodnich. Pisze np. Dohna, że w 1930 r. gościł u siebie w Słobitach szefa sztabu generalnego barona Kurta von Hammersteina, który był zwolennikiem utrzymywania dobrych stosunków z Rosją, ale nieprzyjaznych wobec Polski. Widział więc potrzebę prowadzenia tradycyjnej, niebezpiecznej dla Polski polityki, zrealizowanej zresztą w dziewięć lat później. Czy Dohnie ta polityka odpowiadała? Nie wiemy. Sądzić jednak można z pewnego szczegółu, że specjalnej obsesji antypolskiej nie przejawiał. Otóż wspomina z pewną aprobatą, że jego przyjaciel, baron Wilhelm Hochberg zu Fürstenstein, posiadający dobra w Wielkopolsce, utrzymywał poprawne stosunki z polskimi sąsiadami, uczył się języka polskiego i był lojalnym obywatelem odrodzonego państwa polskiego. Wielu Niemców miało .nu to za złe, a do Dohny uprzedzali się tylko z tego powodu, że przyjaźnił się właśnie z baronem Hochbergiem.

Około 1935 r. rozpoczęto w Prusach Wschodnich budowę różnych umocnień, rzekomo w celu zabezpieczenia przed najazdem Polaków, Litwinów, a nawet Łotyszów. Dohna przyznaje z odrobiną wstydu, że dawali wiarę tej zręcznie prowadzonej propagandzie, która wywoływała strach przed inwazją Polaków, dostarczała także pretekstu do późniejszego, rzekomo prewencyjnego ataku na Polskę. W połowie sierpnia 1939 r. Dohna powołany został do wojska, ale i on, i większość oficerów rezerwy w sztabie dywizji nie wierzyła w wojnę, nie wyobrażali sobie bowiem, że Hitler rozpocznie ją z tak błahego powodu. Toteż gdy 1 września otrzymali rozkaz przekroczenia granicy, ogarnęło ich przygnębienie. Postawa ta kontrastowała — dodajmy — z entuzjazmem młodych roczników wojskowych i ogółu ludności cywilnej.

O samej wojnie wrześnie pisze autor niewiele. Wspomina, że mieli nadzieję, że będą tylko deptali po piętach cofającym się Polakom, tymczasem spotkała ich przykra niespodzianka, bo musieli staczać w pierwszych dniach ciężkie boje. Ponieważ Dohna służył w 228 dywizji piechoty (dowódcą był generał Suttner), a wiemy z historii polskiej wojny, że uderzając od strony Hawy, bił się nad Ossą. Jego przeciwnikami byli m.in. generał Mikołaj Bołtuć i pułkownik Zygmunt Bohusz-Szyszko. Również historycy polscy (np. M. Porwit) stwierdzają, że nad Ossą 228 dywizja piechoty poniosła poważne straty. Później, po ciężkich bojach, przez przedpole Grudziądza, Mełno doszedł Dohna do Modlina, a następnie 29 września wkroczył do Warszawy. Z samochodu rozdawał chleb ludności cywilnej, o czym wspomina w dobrej wierze, nie zdając sobie sprawy, że był narzędziem w rękach nazistowskiej propagandy, która ów fakt silnie eksponowała w prasie i filmach dokumentalnych.

Interesujące są obserwacje Dohny poczynione w okupowanej Warszawie. Dostrzegał wśród Polaków rezygnację, jednocześnie wielką pobożność, przepętnione kościoły, na

miejscach, gdzie ginęli ludzie — palące się świeczki. Duma narodowa nie pozwalała im na utrzymywanie kontaktów z Niemcami, chociaż sam autor dzięki swojej życzliwej postawie zdobywał sympatię, a nawet przyjaźń niektórych Polaków, jak np. rodzeństwa, któremu później udzielił schronienia w Słobitach. Także inni oficerowie pomagali Polakom, zwłaszcza kobietom, w wyjazdach za granicę. Obozy pracy i w ogóle krzyżująca niesprawiedliwość wyrządzana cywilnej ludności do żywego oburzała oficerów Wehrmachtu (*Das Unrecht bedrückte uns Offiziere sehr*), ale w konfliktach wynikłych na tym tle zwyciężały zawsze formacje SS, przestępcze postępowanie których Dohna już wówczas oceniał jak najsurowiej. Między innymi to właśnie żołnierze SS zaczęli borować dziury w Zamku Królewskim w celu wysadzenia go w powietrze. Oburzony Dohna sfotografował ich przy tej czynności i odbitki z odpowiednim raportem przesłał do sztabu dywizji. Później fotografie te ukazały się w prasie zachodniej — pisze Dohna — co zmusiło Niemców do odstąpienia od pierwotnego zamiaru. Jednakże Dohna nie wiedział, że to polskie organizacje podziemne przesyłały na Zachód dowody planowanej zbrodni. Nie przypuszczam, aby na ten krok zdobyli się sztabowcy z Wehrmachtu. Przerzucony później do Tczewa Dohna dostrzegł bez trudu dyskryminację kulturalną ludności polskiej. I na tym kończą się refleksje autora o Polsce w czasach wojny.

W styczniu 1945 r. Alexander zu Dohna — wbrew przeszkodom ze strony NSDAP — poprzez Pomorze Gdańskie i Zachodnie zdążył ewakuować do zachodnich Niemiec ludność ze swoich majątków jeszcze przed nadejściem Armii Czerwonej. Wiedział oczywiście, że Prusy Wschodnie nie będą już należały do Niemiec, toteż opuszczał swoją bliższą ojczyznę i dom w najgorszym nastroju, w poczuciu wielkiej krzywdy. Po wojnie włączył się w nurt działalności rewizjonistycznego ośrodka Göttinger Arbeitskreis, którego podstawowa teza głosiła, że utrata przez Polaków wschodnich obszarów nie upoważnia ich do rekompensowania ubytków przez włączenie do swego państwa dawnych terenów niemieckich. Dohna wspierał rewizjonistów finansowo i merytorycznie. We wspomnieniach komentował jednak samokrytycznie te działania: „Nikt wówczas nie mógł przewidzieć, że cele, które nam przyświecały, i tezy, które reprezentowaliśmy, niedługo potem, dzięki politycznemu rozwojowi wydarzeń, doprowadzą nas do absurdu”. Wreszcie w 1966 r., pod wpływem słynnego memorandum Ewangelickiego Kościoła Niemiec, stało się i dla niego jasne, że Niemcy nie mogą i nie mają prawa zgłaszać roszczeń do byłych ziem wschodnich. Od tego czasu zmienił swój stosunek do Polski, zaczął do niej przyjeżdżać, poznawać kraj i ludzi, znalazł też wielu przyjaciół (m.in. profesora Stanisława Lorentza, dyrektora Muzeum Narodowego w Warszawie), nawiązał kontakty z muzeami w Elblągu i Olsztynie. Z wdzięcznością wspomina dr Kamilę Wróblewską: „Szczególne zasługi dla zachowania znalezionych po wojnie zabytków sztuki, a przede wszystkim obrazów, położyła historyk sztuki Kamila Wróblewska, kustosz Muzeum Warmii i Mazur w Olsztynie. Należy ona do tych nielicznych, którzy zabiegają o bardziej łączące niż dzielące aspekty niemiecko-polskiej historii”. Niestety, wszystkie pałace Dohnów uległy zniszczeniu. Autor zastanawia się w pewnym momencie, komu na tym zależało już po zakończeniu wojny. Rzeczywiście, trudno to pojąć. Dodajmy jednak, że podobny los spotkał większość pałaców i dworców w całej Polsce. W 1974 r. Dohna zaprzyjaźnił się z Józefem Konarzewskim, ówczesnym dyrektorem gospodarstwa państwowego w Słobitach, świetnym rolnikiem.

W czasie podróży po Polsce Dohna nie mógł ominąć cmentarza, na którym spoczywają jego przodkowie, znajdującego się przy byłym patronackim kościele w Słobitach. Najstarsze groby pochodzą z początku XIX w. Ponieważ w połowie lat siedemdziesiątych kilka cennych płyt zostało skradzionych, ks. Stanisław Gadomski przy finansowej pomocy Dohny przeniósł pozostałe płyty nagrobne do kościoła i wmurował je w jego wewnętrzne ściany. W 1981 r. odbyła się piękna uroczystość. Ks. Gadomski wygłosił homilię, następnie poświęcił płyty nagrobne i odmówił modlitwy za zmarłych Dohnów, za co były właściciel kościoła patronackiego, książę Dohna, serdecznie mu podziękował. W kościele, chociaż był to

dzień pracy, zebrało się około 30 parafian polskich. Na ich życzenie Alexander zu Dohna, który wraz z żoną siedział na honorowym miejscu, opowiedział o historii swego rodu, o samym pałacu. Inni obecni zgłosili chęć ofiarowania robocizny przy jego ewentualnej odbudowie. Wreszcie pewna kobieta wyraziła życzenie, by państwo Dohnowie, powrócili do Słobit, gdyż tu obok swoich przodków powinni zostać pochowani. W sumie całe spotkanie miało charakter wzruszający i służyło prawdziwemu pojednaniu. Niestety, w dwa lata później nowy proboszcz podszedł bezceremonialnie do zabytków i z wyjątkiem jednej płyty, pousuwał resztę ze ścian kościoła. Gdy Dohna dowiedział się od ludzi, że ojciec tego proboszcza zginął w niemieckim obozie koncentracyjnym, zrozumiał jego stanowisko. A ja — muszę przyznać — jestem mniej tolerancyjny.

Księżę Dohna w epilogu swojej książki mocno podkreśla, że całkowicie zgadza się ze słynnym przemówieniem prezydenta Richarda von Weizsäckera wygłoszonym w 1985 r. w czterdziestą rocznicę zakończenia II wojny światowej. Jemu też bardzo leży na sercu — pisze — pojednanie ze Wschodem, a szczególnie z Polską; wyraża też nieśmiałą nadzieję, że liczne jego podróże do Polski jakiś ślad w tym kierunku pozostawiły.

W zakończeniu wypada mi całkowicie potwierdzić ostatnią myśl autora wspomnień. Nie tylko podróże, ale także jego książka służy pojednaniu. Jest to głęboka, uczciwa opowieść o skomplikowanym, uwarunkowanym przez historię życiu, szczerze przedstawienie wewnętrznych zmagani, rozterek, książka o słabościach i wzlotach, o szukaniu prawdy, o ważkich, odważnych decyzjach, które budzą optymizm i jednocześnie szacunek dla Autora, Alexandra zu Dohna.